

**BRIAN SCOTT O POLSCE
MEDIACH I POLITYCE**

ROZMAWIAŁA MARIA MAZUREK

**PIERWSZY
MURZYN
RP**

WYDAWNICTWO WAM

WYDAWNICTWO **WAM**, 2016

OPIEKA REDAKCYJNA **DOROTA TRZCINKA**

REDAKCJA **ILONA KLIMEK**

KOREKTA **NATALIA KARPIŃSKA DLA PRZYGOTOWALNIA**

OPRACOWANIE GRAFICZNE I SKŁAD **PRZYGOTOWALNIA**

PROJEKT OKŁADKI **KATARZYNA EWA LEGENDŹ**

ZDJĘCIA NA OKŁADCE © **GRAŻYNA MAKARA**

ZDJĘCIA W KSIĄŻCE **JEŚLI NIE ZAZNACZONO INACZEJ,**

ZDJĘCIA POCHODZĄ Z ARCHIWUM AUTORA

ISBN **978-83-277-1217-2**

WYDAWNICTWO WAM

UL. KOPERNIKA 26 • 31-501 KRAKÓW

TEL. 12 62 93 200 • FAKS 12 42 95 003

E-MAIL: WAM@WYDAWNICTWOWAM.PL

WWW.WYDAWNICTWOWAM.PL

DZIAŁ HANDLOWY

TEL. 12 62 93 254-255 • FAKS 12 62 93 496

E-MAIL HANDEL@WYDAWNICTWOWAM.PL

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

TEL. 12 62 93 260

E.WYDAWNICTWOWAM.PL

DRUK: GRAFARTI • ŁÓDŹ

WYDAWNICTWO WAM PRAGNIE PODZIĘKOWAĆ MUZEUM ŚLUSARSTWA IM. MARCINA MIKUŁY
W ŚWIĄTNIKACH GÓRNYCH I SKLEPOWI IMPERIUM KOSZULEK ZA POMOC W PRZYGOTOWANIU
SESJII FOTOGRAFICZNEJ.

SPIS TREŚCI

OJCZYŻNA SENTYMENTALNA	7
GUJAŃSKIE WYCHOWANIE	31
PIERWSZE POLSKIE WSPOMNIENIA	53
OBCOKRAJOWIEC NA UJ	77
MIEJSCE W PODRĘCZNIKU	95
ŻYCIE NIE KOŃCZY SIĘ NA TVN-IE	113
POLSKA INNA, KOLOROWA, RÓŻNA	131
NIESTANDARDOWA SZKOŁA	151
REPUTED WIFE	167
NACZELNY MURZYN	185

**OJCZYZNA
SENTYMENTALNA**

KIM jesteś, Brianie Scotcie?

Wiesz, że kiedy prowadziłem w telewizji program o mniejszościach narodowych, *Etniczne klimaty*, zawsze zaczynałem rozmowę od tego pytania?

Wiem.

Kim są? Kim się czują? Jaka jest ich tożsamość? Gdzie jest ich ojczyzna? Gdzie jest ich dom?

Gdzie jest więc twój dom?

Bóg stworzył dla mnie dom na ziemi. Ten dom ma piękny, niebieski dach i światła, których nikt nie może zgasić – słońce, księżyc, krążące wokół gwiazdy. Możemy posiadać wiedzę ze wszystkich najlepszych uniwersytetów, ale nie możemy zmienić tego, co ten jedyny Pan, którego ja się boję – bo tylko Jego nikt nie jest w stanie pokonać – stworzył.

Nie jestem więc patriotą w polskim rozumieniu tego słowa. Nie byłbym w stanie bić się za ziemię, ginąć za nią. Bronię przede wszystkim tych, których kocham: mojej rodziny, przyjaciół. To ludzie mają dla mnie znaczenie. Dom jest tam, gdzie są osoby, które kochasz.

Bardziej myślisz o sobie jako o Gujańczyku czy jako o Polaku?

Długo mówiłem i myślałem o sobie: Gujańczyk mieszkający w Polsce. Ale teraz uważam się za Polaka gujańskiego pochodzenia. Mam pięćdziesiąt sześć lat, a od trzydziestu jeden mieszkam w Polsce. To nie tak, że wstydzę się swoich korzeni, swojego pochodzenia. Jestem dumny ze swoich przodków, którzy byli murzyńskimi niewolnikami. Jestem dumny ze swoich rodziców, którzy mnie wychowali, zadbali, by ich dzieci były wykształcone. Jednak już nie bardzo czuję, że Gujana jest moim miejscem. Wyjechałem stamtąd w 1985 roku. Teraz, kiedy tam przyjeżdżam, spotykam ludzi, którzy byli wtedy dziećmi albo nawet nie było ich jeszcze na świecie. I nie mamy wiele wspólnych tematów. Nie mamy wspólnych wspomnień czy punktów odniesienia, bo nie chodziliśmy razem do szkoły. Cały czas słyszę od nich te same pytania: A gdzie jest ta Polska? Jakim językiem się tam mówi? Czy tam są tylko biali ludzie (bo na zdjęciach widzą, że jedynym Murzynem jestem ja, czasem zawieruszy się też jakiś wujek z Gujany)? Więc kiedy jadę do Ameryki, żeby odwiedzić rodzinne strony, po kilku dniach baterie są już naładowane. Nawet moja mama zdaje się to widzieć i mówi do mnie: „Chcesz już wracać, Brian, prawda? Chcesz do Polski, do swojej żony i synów?”. I mogę wracać, by znów zatęsknić. Gujanę mam cały czas w sercu.

Bardzo mało wiemy o tym kraju.

Ale Gujana naprawdę istnieje! To nie jest jakiś wymyślony, mityczny kraj.

Jaki więc jest?

Mały, zielony, bardzo różnorodny. Znajduje się w północno-wschodniej części Ameryki Południowej i jest tam jedynym krajem – jeśli nie liczyć wysp, tylko państwa na stałym lądzie – anglojęzycznym. Gujana była kolonią brytyjską, co bardzo ją

uwarunkowało i do dziś te wpływy są widoczne – nie tylko dlatego, że mówimy po angielsku. Jeśli natomiast chodzi o dokładniejsze usytuowanie, graniczymy z Brazylią, Surinamem – dawną Gujaną Holenderską, Wenezuelą, leżymy nad Oceanem Atlantyckim.

Z Wenezuelą o granicę się kłóćcie.

To jest problem terytorialny, który istnieje od XIX wieku i który Brytyjczycy już dawno mieli rozwiązać – a tego nie zrobili, przynajmniej nie do końca. To nie jest konflikt zbrojny, nie jest tak, że się nienawidzimy, że walczymy ze sobą. Raczej chodzi o potyczki słowne i dyplomatyczne. Ich źródło sięga dawnych, jeszcze kolonialnych czasów, kiedy rysowano mapy. Według Wenezueli nastąpił błąd i część ich terytorium została uznana za brytyjskie. A potem tak już zostało.

Ten spór teraz odżył, bo Amerykanie znaleźli na spornym terytorium duże złoża ropy naftowej. Więc Wenezuela postanowiła upomnieć się o swoją – jak twierdzi – część.

To chyba klasyka w Ameryce Południowej. Chile odebrało Boliwii dostęp do morza, kiedy okazało się, że są tam złoża surowców.

Najczęściej problemy między państwami Ameryki Południowej wynikają ze sporów granicznych, z różnych wyobrażeń o tym, jak powinny przebiegać granice.

Ale mimo tego sporu Gujana i Wenezuela współpracują ze sobą, również na płaszczyźnie gospodarczej, a stosunki między mieszkańcami obu państw są życzliwe. Zresztą Gujańczycy nie byłiby w stanie walczyć – w sensie zbrojnym – z Wenezuelą: Gujana ma obecnie mniej niż osiemset tysięcy mieszkańców.

Malutko. Tyle, ile Kraków.

Właśnie. A Wenezuela ma wojsko, które liczy ponad trzysta tysięcy żołnierzy.

Czym, po tylu latach, jest dla Ciebie Gujana?

Ojczyzną sentymentalną, emocjonalną, związaną z moją historią, z moją tożsamością. Gujana to dla mnie wszystkie dźwięki i zapachy dzieciństwa.

Jak pachnie Gujana?

Świeżymi owocami, świeżymi rybami. Gujana pachnie dzikością, dziewictwem, jest nierozwiniętą częścią naszego świata, dżunglą, w której ciągle są miejsca, gdzie człowiek jeszcze nie dotarł. Niedawno Brytyjczycy znaleźli tam kilkaset gatunków nieznanych wcześniej kwiatów i małych zwierząt – robactwa, ryb.

To mały kraj z potencjałem rozwoju, który – jak mi się wydaje – nigdy nie zostanie wykorzystany.

Dlaczego?

Bo nie mamy wystarczająco dużo ludności. Gdyby Gujana liczyła więcej mieszkańców, kraj mógłby się rozwijać.

Czy czujecie się w Gujanie wyautowani, wyizolowani, samotni?

Z jakiego powodu?

Rozmawiacie po angielsku, macie brytyjskie dziedzictwo, a wszyscy wokół Was mówią po hiszpańsku. Oprócz Brazylijczyków, którzy posługują się portugalskim, ale i to jest pokrewny, romański język.

Nie czujemy się jak na bezludnej wyspie. Jak można tak się czuć w kraju, w którym obok siebie mieszkają Murzyni, Hindusi, Azjaci? Owszem, może jesteśmy bardziej związani z krajami karaibskimi niż z naszymi sąsiadami w Ameryce Południowej, na lądzie. Zawarliśmy z krajami karaibskimi, anglojęzycznymi, byłymi koloniami angielskimi unię, która nazywa się CARICOM – The Caribbean Community and Common Market, po polsku: Karaibska Wspólnota i Wspólny Rynek. To coś na kształt tutej-

szej Unii Europejskiej – jej członkowie wspierają się gospodarczo, biznesowo, choć ten sojusz daje też pewne poczucie tożsamości. Oprócz Gujany do CARICOM-u należą wyspy, między innymi Jamajka, Barbados, Dominika, Saint Lucia, Grenada, Bahamy, Trynidad i Tobago. One wszystkie są byłymi brytyjskimi koloniami. Brytyjczycy mieli w tej części świata tylko jedną kolonię na stałym lądzie: Gujanę. To stąd zarządzili resztą Karaibów. W Georgetown, stolicy Gujany, zwanej przez Brytyjczyków stolicą ogrodów, the Garden City, rezydował główny gubernator.

Mamy bogatą kulturę, która została nam przekazana przez Brytyjczyków. Jestem bardzo dumny ze swojej brytyjskiej, kolonialnej spuścizny – z edukacji, manier i etyki. Jako nauczyciel, ojciec, kolega, mąż i jako Polak próbuję te wartości przekazać osobom, z którymi spotykam się na co dzień.

W kuchni widać wpływy brytyjskie?

Brytyjskie wpływy w kuchni?! Chyba żartujesz! Brytyjczycy nie mają swojej kuchni, *sorry*. Herbata nie rośnie w Londynie. To, na czym Brytyjczycy budowali imperium i wielkość, zdobyli albo ukradli przez wyzysk na swoich terytoriach – i zamorskich, i karaibskich, i w Afryce, i w Azji.

Przed chwilą powiedziałeś, że jesteś dumny z brytyjskiego dziedzictwa.

Duma nie wyklucza krytycyzmu. Zastanówmy się: co tak naprawdę jest brytyjskie?

Królowa na pewno.

Okej, oni są dumni ze swojej królowej w pięknej koronie. Ale na jej koronie znajdują się kradzione diamenty i bogactwa. Nie ma węgla, są diamenty, złoto i błyskotki. Wystarczy się przejść do Muzeum Brytyjskiego w Londynie, żeby zobaczyć, skąd się wzięło bogactwo Brytyjczyków.

Pamiętam, że odwiedziłam to muzeum jako małe dziecko, jeszcze nierozumiejące wiele z historii. Zdziwiłam się, skąd „te faraony” wzięły się w BRYTYJSKIM muzeum.

I to trzeba powiedzieć wprost: bogactwo Brytyjczyków wynika z tego, że grabili cenne rzeczy, gdziekolwiek się zjawili. A rdenną ludność wykorzystywali.

Powiedziałeś o zapachach Gujany. A co z dźwiękami?

Bębny naszych rdennych Indian. Pieśni Hindusów podczas ich religijnych obrzędów. Dźwięki rytuałów Murzynów, którzy pochodzili od niewolników i którzy jeszcze praktykują to, co byli w stanie uratować ze swojej historii.

Też masz afrykańskie korzenie.

Tak, choć nie czuję się Afrykańczykiem. Nie uważam, że w Afryce jest moje miejsce. Moje miejsce, jak już powiedziałem, jest po prostu na świecie. Więc i w Afryce pewnie czułbym się dobrze. Odpowiada mi jednak to, że jestem Murzynem. Kolor skóry jest dla mnie powodem do dumy. Nie muszę się opalać, jak większość Europejczyków, na plażach w lecie. I nie stracę tej wymęczonej opalenizny w grudniu.

Gujana jest krajem, gdzie obok siebie żyją ludzie różnych ras i różnych religii.

Gujana jest nawet znana jako kraina sześciu ras – *The Land of Six Races*. Mamy tu Hindusów, Murzynów, Indian, Chińczyków, Europejczyków, Portugalczyków... Ale ludzie to tak naprawdę jeden gatunek. Nawiązuje do tego umieszczone na naszym godle motto Gujany, które brzmi: *One People, One Nation, One Destiny*, „Jedni ludzie, jeden naród, jedno przeznaczenie”. Znajdziesz u nas chrześcijan, hindusów, muzułmanów, rdennych Indian, są też ludzie, którzy czczą jeszcze dawne, afrykańskie bóstwa.

I ci ludzie różnych ras, różnych religii żyją obok siebie w zgodzie? Nie zdarzają się konflikty?

Tak jak w prawdziwym życiu: nawet w najlepszym małżeństwie zdarzają się sprzeczki. Bywa różnie. Ale na pewno nasze kłótnie nie są na tyle mocne, by doprowadzić do wojny domowej.

Niesamowite, że to wszystko jest w kraju, który liczy osiemset tysięcy mieszkańców. Świat w pigułce.

Polakowi trudno to sobie wyobrazić, prawda? Bo Polska ewoluowała przez setki lat. A Gujana jest krajem, który został sztucznie stworzony, kiedy dotarli tam Europejczycy na czele z Krzysztofem Kolumbem – tym „wielkim” białym człowiekiem z Europy. Wówczas świat uznał, że ten region wcześniej nie istniał. Musiał dopiero pojawić się Europejczyk, żeby ogłosić wszem wobec, że on, w imieniu swojego króla i swojej królowej, odkrył nową ziemię.

Jakby ją stworzył?

Właśnie. Nie miał ani trochę szacunku do Indian, którzy już tam żyli. Kolumb ukradł tę ziemię siłą dla Europy.

Ludzie na Jamajce mówią często, że Kolumb nie odkrył Ameryki. On był po prostu pierwszym Europejczykiem, który tam dotarł. Nie można odkryć lądu, który już był zamieszkanym. Co innego, gdyby żyły tam same zwierzęta.

Widać, że to Cię wkurza.

Wkurza. Mówimy dziś, że przeżywamy najazd imigrantów, cudzoziemców, uchodźców. Że mamy do czynienia z „inwazją na Europę”. Ale to mieszkańcy Ameryki w xv i xvi wieku zmagali się z najazdem Europejczyków. To Europejczycy byli uchodźcami, to oni przywieźli ze sobą bakterie i choroby. I zdziesiątkowali Indian. Większość z rdzennej ludności zginęła. Bo nie zgodzili się pracować dla Europejczyków, gdy ci chcieli uprawiać tabakę

i trzcinę cukrową. W tej sytuacji kolonizatorzy musieli znaleźć nową siłę roboczą. Pojechali do Afryki, a później również do Azji, i przywieźli niewolników. Najpierw więc na terenie Gujany mieszkali Indianie, następnie pojawili się Europejczycy, a potem Murzyni.

Wiesz, kiedy Twoi przodkowie dotarli do Gujany?

Nie. Bardzo trudno o dokumenty potwierdzające, kiedy i z jakiego kraju został przewieziony taki czy inny niewolnik, z jakiego był plemienia, jakie miał wcześniej nazwisko. Mój brat Michael, który jest socjologiem, od lat próbuje dowiedzieć się, skąd przybyła nasza rodzina Scottów. Mówię „Scottów”, ale to przecież tak naprawdę nie jest nasze nazwisko. Szanuję je i noszę z dumą, ale to jest nazwisko, które należało do pana moich przodków. Jakiś pan Scott był właścicielem mojej rodziny i stąd moje nazwisko. Jeśli niewolnik należał do pana Scotta, to i na niego mówiono „Scott”. Rozumiesz, mam nazwisko jakiegoś białego faceta, który był właścicielem moich przodków. Czarni ludzie z obu Ameryk noszą tego typu nazwiska. Polaków zawsze to zaskakuje. Pytają: „O, ty jesteś Scott, a dlaczego nie Kunta Kinte albo Dziambungubangu?”.

Murzynom zostało zabrane wszystko, łącznie z godnością. Odebrano im własne nazwiska, nie byli nawet numerami. Zostawało tylko to, że jesteś rzeczą. Towarem. Kupiono cię, więc potem można cię sprzedać – nieważne, czy masz żonę, dzieci. Jeśli twój pan chce sprzedać twoją żonę, twoje dzieci, robi to; to on decyduje komu – wcale nie musicie być razem, co go to obchodzi. Więc kto wie – może mam gdzieś nieznanych mi krewnych, którzy noszą inne nazwisko, bo byli sprzedani innemu właścicielowi? Panu Cameronowi, panu Thatcherowi albo panu Bushowi? I nie wiemy, że na przykład pan Bush i pan Scott są z tej samej linii z Afryki, że są krewnymi.

Czyli nie wiesz, z jakiego regionu Afryki pochodzi Twoja rodzina?

Brytyjczycy najczęściej mieli niewolników ze swoich kolonii: Nigerii, Ghany, Kenii, Tanzanii i tak dalej. Nie mogę tego powiedzieć ze stuprocentową pewnością, mamy jedynie podejrzenia, że nasza rodzina pochodzi z plemion ghanińskich i nigeryjskich. I nawet wiem, z których plemion konkretnie: z ghanińskiego Aszanti i z nigeryjskich Jorubów. I to wszystko, co wiem, czy raczej czego się domyślam.

Takie są moje korzenie. Ale zwyczajnie przejąłem już od Brytyjczyków. Nie wiem, jakiego afrykańskiego Boga moi przodkowie mieli, ale my przyjęliśmy chrześcijaństwo, bo zostało nam siłą przez Brytyjczyków narzucone. Jestem protestantem, całe dzieciństwo co niedzielę chodziłem do kościoła prezbiteriańskiego, The Presbyterian Church of Scotland, i śpiewałem pieśni w języku angielskim.

Uczyłeś się tam jakiegoś innego języka poza angielskim?

Nie, moim drugim językiem był dopiero polski. Wiadomo, że w każdym kraju istnieją różne gwary, więc w Gujanie potrafimy kaleczyć angielski i tworzyć dialekty, które różnią się od siebie w poszczególnych częściach kraju. Ponadto Hindusi mówią inaczej, Murzyni inaczej, ale język urzędowy jest poprawny.

A po hiszpańsku ktoś w Gujanie mówi?

Przy granicy. W miejscowościach blisko Wenezueli można znaleźć ludzi, którzy mówią po hiszpańsku. W miejscowościach blisko Brazylii są ludzie, którzy mówią po portugalsku. W miejscowościach bliżej Surinamu – na przykład w moim rodzinnym Skeldon – bardzo dużo ludzi mówi po holendersku. Ale to normalne zjawisko przy granicach. W Polsce, gdy prowadziłem program telewizyjny i jeździłem na Podlasie, Kaszuby, Dolny Śląsk, w Bieszczady, ludzie też mówili w różnych językach. Na

Dolnym Śląsku znacznie częściej słyszy się niemiecki, a w Bieszczadach – ukraiński.

Więc te różne języki są w Gujanie obecne, choć przede wszystkim używa się angielskiego. No i kultura jest mocno brytyjska, cały system edukacji jest brytyjski.

Kiedy dzieci w Gujanie idą do szkoły?

Tak jak w Wielkiej Brytanii – kiedy mają pięć lat. Edukacja w podstawówce, *primary school*, trwa sześć lat. Gdy masz jedenaście lat, piszesz egzamin. Jak masz szczęście i dobrze ci pójdzie, możesz dostać się do liceum, *high school*. Jeśli nie, jest jeszcze *junior high school*, takie trzy dodatkowe klasy podstawówki, coś na kształt polskiego gimnazjum. Po tych trzech latach możesz znów zdawać do *high school*.

Edukacja w *high school* także trwa sześć lat, więc jeśli trafiasz tam bezpośrednio po podstawówce, piszesz maturę w wieku szesnastu–siedemnastu lat. U nas nazywa się to The General Certificate of Secondary Education i jest przygotowywane przez Uniwersytet w Cambridge. Zdawałem tę maturę w 1976 roku. Kawał czasu, prawda?

Ludzie, którzy dobrze zdają maturę, idą na studia?

Niekoniecznie. Gujana to mały, biedny kraj, nie ma dużo do zaoferowania. Najzdolniejsi wyjeżdżają na studia poza granice kraju, bo jedyny uniwersytet, który mamy, Uniwersytet Gujany w Georgetown, nie kształci studentów we wszystkich dziedzinach nauki. Gdy wyjeżdżałem z Gujany, nie było tam takich podstawowych kierunków jak prawo czy medycyna.

A co się dzieje, jeśli po *junior high school* nie dostaniesz się do liceum?

Idziesz na trzy lata do szkoły, którą można porównać do naszego technikum. Uczysz się tam zawodu – chłopcy zajmują się stolar-

ką albo mechaniką, a dziewczyny na przykład szyciem. Potem idziesz do pracy, choć przez pierwsze dwa lata pracujesz pod czyimś nadzorem.

W Gujanie – to również na pewno mocno odróżnia ją od Polski – nie ma pór roku.

Nie ma. To kraj tropikalny, położony przy równiku. Cały rok jest ciepło i cały rok doba jest podzielona dokładnie na pół. Przez dwanaście godzin jest ciemna noc, a przez kolejne dwanaście godzin świeci słońce i jest jasno. Dzień zawsze trwa od szóstej rano do szóstej po południu. Zawsze! Przychodzi szósta po południu i momentalnie jest ciemno.

Nie wiem, czy to fajne.

Mnie się to bardzo podoba. Tak samo jak cała przyroda w Gujanie. Nazwa „Gujana”, którą wymyślili rdzenni Indianie, znaczy „krajna wód”, *land of many waters*. Ludzie nie mają pojęcia, że spośród krajów w Ameryce Południowej to Gujana ma najwięcej rzek i wodospadów. Wśród tych drugich jest Kaieteur, ewenement na światową skalę. To nie jest jakaś tam sikawka. Ten wodospad ma najwyższy swobodny spad, dwieście dwadzieścia sześć metrów. Cała rzeka spada nagle w dół. Niagara to nic w porównaniu z Kaieteur.

Co się w Gujanie je?

Sama kuchnia Gujany odzwierciedla to, jak powstawał ten kraj: został stworzony przez Europejczyków na terenach zamieszkałych przez rdzennych Indian. Europejczycy przywieźli tu swoich niewolników z Afryki – Murzynów. Ale w XVIII i XIX wieku zaczęto ich uwalniać, bo nastał abolicjonizm. Więc kolonizatorzy musieli zastąpić murzyńskich niewolników kontraktowymi pracownikami, po których pojechali do Azji. Wybrali kraje najbardziej zaludnione, zabierając zatem ze sobą Hindusów i Chińczyków.

Anglicy, przywożąc najpierw Murzynów z Afryki, a później Azjatów i Hindusów, sprowadzili zarazem pełen bagaż kulturowy tych ludzi, a więc ich język, wiarę, historię, muzykę, no i wreszcie – jedzenie. Kuchnia gujańska łączy te wszystkie smaki: hinduskie, murzyńskie, azjatyckie. Chyba szczególnie cenię smaki hinduskie: curry, chleb *naan* czy *papad*, *phal ka pakora*, czyli owoce smażone w cieście. Z indiańskich dań lubię tapioki otrzymane z bulwy manioki, czyli czegoś, co możemy porównać do naszego ziemniaka. Z indiańskich inspiracji używam w kuchni również sosu *cassareep*. Stosuję go do gotowania czegoś, co moje dzieci nazywają czarnym mięsem.

Czarnym mięsem?

To coś podobnego do naszej golonki, tylko przyrządza się to danie z tych części wołowiny, które dają żelatynę: głowy, zuchwy, ogona. Bardzo to jest kleiste i im dłużej się to przyrządza, tym jest smaczniejsze.

Często gotujesz?

Dość często.

Częściej Ty czy Twoja żona Ula?

Nie, Ula jednak znacznie częściej. Ja więcej przebywam poza domem. Ale gdy zapraszamy gości albo gdy Uli nie ma, bez problemu radzę sobie w kuchni. Ostatnio na przykład, gdy Ula musiała wyjechać, kupiłem zieleninę, czyli zieloną pietruszkę i młodą cebulę, wiosenną, ze strączkami. Pokroiłem bardzo drobno. Nalałem do rozgrzanego woka trochę oliwy z oliwek i dodałem kawałek masła klarowanego, makaron ugotowany *al dente* rzuciłem do tego tłuszczu i wymieszałem wtedy z cebulą, aż stała się miękka (ale tak, żeby się nie spaliła!). Do tego kupiłem wcześniej dobrej jakości wędzonego łososia krojonego w paskach, wrzuciłem do woka, wyłączyłem ogień, żeby gorąca

pasta mogła się dogotować. Dorzuciłem zieleninę, sól i pieprz. Jezu! Wyszło coś fantastycznego. Ostatnio, kiedy Ula poprosiła, zrobiłem też mule. Owoce morza zawsze ja przyrządzam.

Owoce morza w Gujanie zawsze są świeże, w Polsce chyba gorzej.

Nie jest tak źle. Zawsze w czwartki można dostać świeże, wtedy są przywożone z dużych europejskich targów rybnych. Więc kupuję je, wkładam do zamrażalnika i gotuję, kiedy chcę. Ostatnio zrobiłem mule z anyżowym likierem greckim i śmietaną. Mam przyjaciela Andrzeja, który świetnie gotuje – wszystko, co przyrządzi, jest kulinarnym dziełem sztuki. I kiedyś zaprosiłem go z jego żoną Renatą na moje urodziny albo rocznicę ślubu, już nie pamiętam. Zrobiłem wtedy krewetki i mule. I Andrzej stwierdził: „Powiem ci, podróżowałem po całym świecie i jadłem wszędzie, ale twoje owoce morza są najlepsze, jesteś debsciak”. A jak Andrzej coś takiego mówi, to musi to być wielki komplement. Więc powiem nieskromnie – gotuję nieźle.

Skąd ten dar?

Jedzenie dla ludzi z Karaibów jest bardzo ważne. Kiedy zasiada się do stołu, to tak, jakby podchodziło się przed ołtarz. To jest celebracja. Jedzenie zawsze musi być smaczne. A wiesz, co sprawia, że jedzenie jest smaczne?

Co?

Spices. Przyprawy. Myślę, że Polacy nie zwracają na nie specjalnej uwagi, co zostało jeszcze z czasów komuny. Kiedy w 1985 roku przyjechałem do Polski, były tylko pieprz i vegeta. Ludzie nie znają się na przyprawach. Choć czasy się zmieniają i ci, którzy pracują w korporacjach, którzy podróżują po świecie i żyją inaczej niż reszta społeczeństwa – oni jedzą w nieco inny sposób. O ile tradycyjna polska kuchnia jest smaczna, ale jednocześnie

tlusta i niezdrowa, o tyle młodzi, wykształceni Polacy chcą już być fit, chodzą na jogę, fitness, uprawiają jogging oraz odżywiają się zdrowiej, piją koktajle i soki z buraków, jedzą potrawy, które poznali za granicą. Ja robię to samo, choć nie jestem w ich wieku. Wreszcie do polskiej kuchni dostają się wszystkie przyprawy, z całym ich bogactwem, różnorodnością, próbujemy nowych rzeczy. Gdy przyjechałem do Polski, dynia była używana do karmienia świń. Jak poprosiłem teściową, żeby dała mi dynię, zdziwiła się, co zamierzam z nią robić. A ja chciałem ugotować zupę krem.

Kto Cię nauczył gotować?

Nikt mnie nie uczył. Patrzyłem, jak moja mama to robi. Bo gotowała bardzo dobrze. Już w Gujanie gotowałem, czasem dla całego domu. Mama miała do mnie na tyle zaufania, że pozwalała mi gotować dla najważniejszej osoby w jej życiu – jej męża. Mojego ojca.

Czego – kulinarnie – brakuje Ci z Gujany?

Wielu rzeczy. Gujana jest krajem tropikalnym, Polska – umiarkowanym. Mogę śmiało powiedzieć, że tu nie ma do osiemdziesięciu procent rzeczy, które są w Gujanie, i odwrotnie. Brakuje mi świeżych owoców morza, soków, a najbardziej chyba owoców. Te owoce to zapach mojego dzieciństwa. Ale nie mówmy, proszę, o owocach. Jakbym zaczął o nich mówić, nie skończyłibyśmy tej rozmowy do północy.

Zarzykuję.

Wiesz co, kiedy w 2008 roku zabrałem moją żonę i synów do Gujany i oni spróbowali tych wszystkich rodzajów banana, mango, gujawy, papai czy ananasa, które przez cały rok dojrzewają na drzewach, non stop jest na nie sezon, wystarczy sięgnąć ręką, to Ula doszło do wniosku, że już więcej nie będziemy kupować

owoców tropikalnych w Polsce. Że nie będziemy obrażać swojego podniebienia i żołądka takimi niemiłymi zapachami i smakami, nie będziemy na to tracić pieniędzy. Musimy być bardzo zdesperowani, żeby kupić w Polsce banana albo ananasa. A nasi chłopcy w Gujanie siedzieli na drzewie mango, które rośnie na posesji, gdzie mieszka moja mama, i nie chcieli z niego zejść. Ani jeść nic innego, tylko owoce. W Gujanie nie ma soków z owoców w kartonach, a jeśli już, to są soki importowane, bo zawsze znajdują się ludzie, którzy mają taką fanaberię, żeby mieć sok z importu. Bo wszystko, co fajniejsze, jest nie ich. Przypomina ci ta cecha jakiś inny naród?

Ale poza tym soki w Gujanie są świeże, naturalnie słodkie. My nie mamy, jak w Polsce, słodkich ciast, bo nasz apetyt na słodkie zaspokajają owoce i soki z nich. Rzadko więc jem słodkie rzeczy, również tutaj. Nie straciłem ani jednego zęba od dzieciństwa. Ostatnio byłem u dentysty w 1999 roku, tylko po to, żeby usunąć kamień.

Są w ogóle jakieś polskie dania, które ci smakują?

Polskie dania jem tylko w wykonaniu mojej teściowej. Raczej nie bywam w restauracjach, bo wychodzę z założenia, że gotuję lepiej, a skoro płacę, chcę mieć dobre jedzenie i podchodzę do restauracyjnych dań krytycznie. Najgorsze w jedzeniu na mieście jest to, że nigdy nie wiesz, jakich składników użyto. Tylko gdy sam coś ugotuję, mam pewność, że to jest dobre i ze składników dobrej jakości. Poza tym nie wszystko z polskiej kuchni mnie przekonuje. Nie podzielam na przykład zachwytu innych obcokrajowców nad pierogami. Jeśli jem pierogi, to tylko mięsne. Nie rozumiem, co tak fantastycznego ludzie widzą w pierogach ruskich. Uwielbiam za to gulasz, bigos, flaczki, żurek, dobrze zrobiony rosół na starej kurze ze wsi i z kluskami domowymi. Wszelkie kotlety. Ale takie rzeczy jem tylko na wsi, u mojej teściowej, w Wojniczu. Do restauracji ich zjeść nie

pójdę, a w moim domu króluje kuchnia międzynarodowa, którą znam z Gujany. Jej smaki, zapachy. Czasem przenoszą mnie do mojego dzieciństwa i czuję się wówczas tak, jakbym widział tę ulicę, na której mieszkaliśmy...

W Gujanie żyją na wolności jakieś dzikie zwierzęta?

Większość terytorium Gujany to dżungla. Więc nieraz było tak, że siedziałem na werandzie i nagle słyszałem, jak na przykład sąsiad krzyczy, że na jego podwórku jest jaguar, który zabłądził i wszedł do miasta. Naprzeciw mojego rodzinnego domu znajduje się kanał. Nim pracownicy fabryki trzcinowej, która jest położona nieopodal, transportują na barkach trzcinę. I wiesz co? W tym kanale czasem można zobaczyć aligatory, anakondy, pięcio- lub sześciometrowe pływające węże.

A insekty, pająki?

Mamy czarną wdowę. I dużo innych insektów. To jest tropik.

A zdarza się, że te dzikie zwierzęta, taki jaguar albo wąż, kogoś zabijają?

Eee, więcej ludzi w Gujanie ginie w wypadkach samochodowych, a nie w wyniku spotkań z węzami czy jaguarami. Zwierzęta mają swoje miejsce. Zdarza się, że z jakiegoś powodu takie zwierzę zabłądzi i wejdzie do miasta, tak jak na niektórych plażach Europy czasem pojawi się zagubiony wieloryb. Ale te zwierzęta nie są nastawione na konfrontację. Zasadniczo póki nie wkroczysz na ich terytorium, nic ci nie zrobią. Inna sprawa, że Europejczycy lubią tu przyjechać na wakacje przygodowe, iść do dżungli, chcą zobaczyć te wszystkie motyle i tak dalej, a to jest trochę niebezpieczne. Póki jednak na siłę nie szukasz przygód, jedynym problemem, jeśli nie masz moskitery, są moskity. A i one nie zawsze fruwią, bo nie lubią wiatru. Występuje u nas, owszem, dużo gatunków węży, lecz większość z nich jest

niegroźna. W Gujanie żyje boa dusiciel, ale nawet nie pamiętam, żebyśmy słyszał, że kogoś udusił.

Sama świadomość, że może gdzieś przy mnie pełza, by mnie przerażała.

Da się przyzwyczaić. Potem tego może nawet brakować. W 2002 roku, niedługo po narodzinach mojego młodszego syna, Michaela, przyjechała do Polski, do Krakowa, moja mama. Podrzuciłem ją do parku Jordana, bo chciała spędzić dzień na świeżym powietrzu, a później z niego zabrałem. Widziałem, że nie była do końca zadowolona, zapytałem ją więc, co się stało. A ona odpowiada: „Synuś, co to za kraj! Siedziałam cały dzień w tym waszym, jak to mówicie, parku i nie widziałam ani jednego węża, ani jednego pająka. Ten kraj to chyba nie żyje!”.

Inna percepcja.

Człowieka z tropiku. Mamie się w głowie nie mieściło, że siedziała wśród drzew, a nie było tam życia. Zapytała nawet: „Po co te wszystkie drzewa w parku Jordana, skoro nie mają owoców?”. Bo u nas, jeśli drzewo nie daje owoców, to idzie na podpałkę do gotowania. A w Polsce są drzewa, które po prostu sobie stoją, nie rośnie na nich ani mango, ani gujawa, ani śliwki. Ja to rozumiem, ale mówię o starej kobiecie, która przyjechała do swojego syna i nie mogła tu wielu rzeczy pojąć. Także tego, dlaczego codziennie w moim bloku sprząta pani, która musi chodzić dookoła i zbierać do śmieci dwa leżące na ziemi liście. Mama z niedowierzaniem pytała: „Czekaj, to ona za to otrzymuje pieniądze?”.

Nie tylko moja mama miała z takimi sprawami problem. Mam w Polsce przyjaciela z Gujany. Jego mama przez większość życia pracowała w domach kolonizatorów, białych Europejczyków, którzy zawsze mieszkali w pięknych, wiktoriańskich domach z dużymi werandami, mieli kamerdynera, tuzin służących, a białe kobiety cały dzień siedziały i się malowały. I ta matka

mojego przyjaciela przyjechała do Polski, do syna, szanowanego doktora Uniwersytetu Rzeszowskiego. On ją wioził z Rzeszowa do swojego domu, do Dębicy, przez małe miejscowości. To było lato, czas żniw. I jego mama nagle krzyczy: „Synuś, zatrzymaj samochód i zrób mi zdjęcie!”. On odpowiedział, że dobrze, ale po co, przecież nic ciekawego się nie dzieje. A mama mu odpowiedziała, że to jest pierwszy raz, kiedy widzi białego człowieka pracującego. I że ten biały człowiek, jak się okazuje, również się poci. Tak, bo u nas biały facet nigdy nie pracował, a na pewno nie fizycznie. Więc to dla niej był tak wyjątkowy widok, że aż chciała uwiecznić go na zdjęciu.

Pytałam o jedzenie, ale zapytam też: jakie są popularne używki w Gujanie?

Alkohol, papierosy. Ale prawdziwą zmorą naszego regionu zawsze była i będzie marihuana. Stamtąd pochodzi. To na Jamajce ją rozpropagowano.

Chińczycy marihuanę rozpropagowali trzy tysiące lat temu. Może, ale dzisiejsze miejsce w kulturze zawdzięcza Bobowi Marleyowi. I, niestety, ten narkotyk jest tam jeszcze popularniejszy niż w Polsce. W Gujanie nie znajdziesz kokainy czy heroiny, bo to są drogie narkotyki, dla bogatych ludzi z Europy i z Ameryki Północnej. Kraje Ameryki Południowej je tylko eksportują, a ich mieszkańcy zajmują się ewentualnie paleniem trawy.

Ameryka Południowa kojarzy się z tymi odjechanymi narkotykami rdzennych Indian: peyotlem, ayahuasą.

Być może Indianie biorą jakieś inne używki, ale ja nawet o nich nie słyszałem. Indianie, pamiętajmy o tym, żyją w Ameryce Południowej nieco inaczej niż pozostała część społeczeństwa. Indianie z Gujany – należy to podkreślić – nigdy nie zostali wypędzeni ze swoich ziem. Gujana wręcz słynie z tego, że szanujemy prawo

Indian do ich ziem i pozwalamy im żyć na nich w spokoju, tam gdzie chcą i jak chcą. Jeśli potrzebują pomocy medycznej albo w kształceniu ich dzieci, to my im ją dajemy, ale nie zmuszamy, by przeszli do cywilizacji. Oni mogą to zrobić z własnej woli, ale nie są do tego zmuszani.

Czyli nie są objęci obowiązkiem szkolnym?

Prawo Gujany mówi, tak jak prawo Polski, że człowiek musi iść co najmniej do szkoły podstawowej. Ale Indianie funkcjonują w Gujanie na podobnych zasadach jak w Polsce Romowie. W Polsce też przymyka się oko na wiele kwestii w społeczności romskiej.

My naszym Indianom pomagamy w różnych sytuacjach. Jeśli wskazują młodych, zdolnych ludzi, którzy mogą zostać na przykład lekarzami, to dajemy im takie możliwości. Na preferencyjnych warunkach wysyłamy ich za granicę. Młody Indianin chce być dentystą? Okej, może się uczyć, a po powrocie zajmować się swoją ludnością. Próbuje nie wchodzić z butami w ich życie, nie naruszać ich wolności.

Czyli oni również, jak u nas Romowie, stanowią nieco odrębną społeczność? Czy mają swoje kodeksy, zasady?

Mają zasady, których, jestem o tym przekonany, do końca nie znają nawet najlepsi prawnicy i najbardziej inteligentni historycy.

W Gujanie można na przykład znaleźć czternastoletnie Indianki, które mają dzieci. A gdyby inna czternastolatka w Gujanie zaszła w ciążę, nasze służby dowiedziałyby się, kto do tego doprowadził, i ta osoba skończyłaby w więzieniu, odpowiedzialaby za współzycie z nieletnią.

Czym zajmują się ludzie w Gujanie?

Gujana jest krajem, który żyje z rolnictwa i z wydobycia surowców naturalnych.

Macie na przykład złoza złota.

Złoto, diamenty, boksyt. Ale główne produkty eksportowe to trzcina cukrowa i ryż. Wywozimy też twarde drewno używane do budownictwa, nawet widziałem, że dociera do Polski. No i oczywiście owoce morza, te wszystkie przepyszne ryby i krewetki.

Czy w Gujanie panuje bieda?

Co to jest bieda? Czy to, że ktoś nie ma nic do jedzenia? Nie znam Gujańczyka, który nie ma co włożyć do ust.

Bo też jedzenie rośnie na drzewach, a domów w tej strefie klimatycznej nie trzeba ocieplać.

O to mi chodzi. Zimno nikomu w Gujanie nie będzie, nikt głodny też nie będzie chodził. Moja rodzinna miejscowość, Skeldon, ma nie więcej niż cztery, pięć tysięcy mieszkańców. Mamy Skeldon Market, targ, odpowiednik naszego placu Imbramowskiego w Krakowie. Codziennie po jego zamknięciu zostawia się setki kilogramów bananów, pomarańczy, różnych warzyw, ryb. Gujańczycy mieszkają nad Atlantykiem, na obszarze położonym najdalej dziesięć kilometrów od morza, a reszta kraju to dżungle i lasy. Więc jest co jeść – jeśli jesteś głodny, możesz przejść się po prostu na ten targ, gdy stragany są już pozamykane.

A czy wszyscy mają pracę? Pytanie, czy wszyscy muszą pracować. To jest kraj, w którym przez całe życie możesz nie mieć ani jednej pary butów, bo ich nie potrzebujesz, bez nich jest ci dostatecznie ciepło. Znam ludzi, których nigdy nie widziałem w butach. Albo facetów, których nigdy nie widziałem w koszuli. Dzieci chodzą do szkoły bez butów. Ale jednocześnie można powiedzieć, że to jest biedny kraj, bo kiedy przyjechałem w 1985 roku do Polski na studia i wszedłem do akademika w Łodzi, to był pierwszy raz w moim życiu, gdy włączyłem przycisk i zaświeciło się światło. Nagle okazało się, że mogę mieć jasno dwadzieścia cztery godziny na dobę. Byłem jednym z najlep-

szych młodych uczniów w Gujanie, ale wszystkiego nauczyłem się przy świecach i lampie naftowej albo butelce z knotem i naftą w środku. Codziennie po szkole, zanim zapadał zmrok, musiałem z moimi braćmi iść kilkaset metrów do kranu w naszej miejscowości, aby nabrać wody do wiader. Znosiliśmy na naszą posesję koło domu dwie, trzy beczki wody, której używaliśmy do gotowania i kąpieli. Ale kąpaliśmy się codziennie. Miałem pretensje do kolegów w akademiku w Krakowie, że nie zachowują higieny. Mieszkałem z chłopakami, którzy kąpali się raz w tygodniu. Mówiłem im: „Kurde, gdyby Gujańczyk miał wodę na dziewiątym piętrze, to chyba mieszkałby w tej wodzie”. Więc owszem, Gujana jest biednym krajem, ale też krajem ludzi z honorem. Tylko cztery czy pięć procent ludności jest analfabetami. To bardzo mało jak na taki biedny kraj. Każdy gujański rodzic ma honor i ambicję, by jego dziecko miało wszystko to, co posiada dziecko białego kolonizatora. Bo ten kolonizator był naszym dyrektorem, lekarzem, prawnikiem, bankierem, my byliśmy tylko służącymi. I cholerny Europejczyk dawał nam wszystkim do zrozumienia, że jesteście głupi. A on jest najlepszy, bo skończył najlepszy uniwersytet: Edinburgh, Oxford albo Cambridge. Więc Joseph Scott, mój wspaniały tata, tyrał przez kilkadziesiąt lat, nosił latami jedną parę spodni i jedną koszulę, którą, jeśli pojawiała się w niej dziura, mama cerowała.

Bo żal było wyrzucić?

Nie można było jej wyrzucić. Joseph Scott wybór miał taki: albo mieć nowe koszule i nowe spodnie, albo mieć dzieci, które chodzą do szkoły. A nasz ojciec po prostu chciał jak najlepiej dla nas.

GUJAŃSKIE WYCHOWANIE

KIEDY myślisz o swoim dzieciństwie w Gujanie, to towarzyszy Ci jakieś wspomnienie, które szczególnie Cię wzrusza?

Tak. Słowa mojego ukochanego ojca Josepha Scotta. Ojciec zabrał nas kiedyś na spacer na plantację trzciny cukrowej. Obok niej było takie ekskluzywne getto – system brytyjski działał w taki sposób, że zawsze przy fabryce, instytucji, szkole, szpitalu mieszkali najważniejsi menedżerowie, kadra zarządzająca. Wszyscy, oczywiście, biali. Żyli na zamkniętym terytorium, luksusowym, z basenami w środku i z dwumetrowym ogrodzeniem zakończonym kolcami.

Grodzili się ze strachu?

Grodzili się raczej, żeby pokazać, że tu mieszkają oni – ważni biali ludzie. Oni nie byli wcale zagrożeni, nikt nie miał zamiaru ich zabić czy skrzywdzić. Ba, wszyscy ich wręcz podziwiali. My mogliśmy w okresie kolonializmu, ale też długo po nim, tylko dążyć do tego, aby być jednym z ich trzeciorzędnych pracowników. Tak wysoko jak oni nigdy nie mieliśmy szans dojść. Najpierw był biały menedżer, potem jego zastępca, następnie jego asystent, a my mogliśmy, jeśli mieliśmy szczęście, być dopiero

pod nim. Za tym zakończonym kolcami ogrodzeniem były wystawne domy, baseny, stajnie dla koni, korty do tenisa ziemnego. Wiesz, że nauczyłem się pływać dopiero kilka lat temu w Polsce, tylko dlatego, że moje dzieci się uczyły? Przysięgam na Boga, w Gujanie nigdy nie pływałem, choć jest tam mnóstwo zbiorników wodnych. Rodzice zawsze nam mówili: „Nie wolno do tej wody, trzeba uważać, tam jest aligator, węże”. I połowa Gujańczyków nie potrafi pływać. A o pływaniu w basenie nie było mowy. Zawsze uważałem, że pływanie w basenie, jazda konna i tenis ziemny są dla białych ludzi. Daję słowo, tak myślałem. Tak widziałem świat, gdy byłem murzyńskim chłopcem. Wracając do tego wspomnienia: ojciec zabrał nas przed to ekskluzywne getto, spojrzał na nie, na nas i powiedział: „Dzieci moje, mam tylko jedno marzenie: żeby pewnego dnia chociaż jedno z was tak mieszkało”.

Mieszkało któreś?

Mój młodszy brat. Nie tylko mieszkał w takim ekskluzywnym getcie, ale był też później ważnym menedżerem. Kiedy w 2008 roku zabrałem moją żonę i dzieci do Gujany – to była chyba najważniejsza podróż w moim życiu – żeby pokazać im, gdzie są moje korzenie, skąd jestem, to mieszkaliśmy chwilę u mojego brata, w takim samym domu, w jakim kiedyś żyli kolonizatorzy. I tam był basen.

Od kiedy w Gujanie nie ma takiego podziału?

Uzyskaliśmy niepodległość w 1966 roku, a republiką staliśmy się cztery lata później. Ale z własnego wyboru zdecydowaliśmy się zostać we wspólnocie brytyjskiej, bo to przynosi nam więcej korzyści, niż gdybyśmy w niej nie byli. Gdy wracam do Gujany dzisiaj, widzę projekty, które są fundowane przez Unię Europejską. Z jakiej racji? Przez kontakt z Wielką Brytanią. Oprócz tego na terenie Gujany przebywa ambasador Unii Europejskiej.

Ile miałeś lat, gdy byłeś na tym spacerze?

Dziesięć, może jedenaście.

Opowiedz o swoim rodzeństwie.

Mój najstarszy brat, Randolph, jest synem tylko mojego taty. Ale zawsze był z nami, więc moja mama kochała go jak swoje dziecko.

A co się stało z jego biologiczną mamą? Umarła?

Nie. Jego mama po prostu wiedziała, że Randolph będzie miał lepsze życie z naszym ojcem niż z nią. I tak zdecydowała.

Twój tata rozwiódł się z jego matką?

Oni nigdy nie byli małżeństwem. Mój ojciec ożenił się raz – z moją mamą. Przecież wolno mieć dziecko bez małżeństwa. Czy każda Polka ma dziecko ze swoim mężem?

Nie.

No właśnie. Nie wiem dużo o mamie Randolpha, ale wiem dużo o nim, bo to jest mój ukochany starszy brat. Byłem u niego we wrześniu 2015 roku, mieszka na Long Island w Stanach.

Co robi?

Przeszedł już na emeryturę, ale jest pastorem. Tak jak jego ojciec ma trzech synów i jedną córkę. Jest magistrem filologii angielskiej, przez jakiś czas pracował jako uniwersytecki nauczyciel. Mój ojciec, który nie skończył studiów, i matka, która nie była w *high school*, wychowali swoje dzieci tak, że wszyscy synowie skończyli wyższe uczelnie.

Po Randolphie urodziłeś się Ty?

Nie. Najstarsza z naszej gromady jest moja siostra Hazel. Cztery lata starsza ode mnie. W tym roku poszła na emeryturę, była

urzędnikiem państwowym. Mieszka w Gujanie. Założyła rodzinę, ale jej mąż już nie żyje. Trzeci z kolei jest Michael. To jemu zawdzięczam to, kim teraz jestem.

Dlatego nazwałeś swojego syna Michael?

Tak. Na jego cześć. Michael jest moim bohaterem, moim najukochańszym bratem, jest tylko dwa lata starszy ode mnie, ale jego mądrość jest niesamowita. To socjolog, profesor uniwersytecki. Doradca wielu międzynarodowych organizacji, łącznie z Organizacją Narodów Zjednoczonych. Mieszka w tej chwili w Gujanie, ale większość roku spędza na podróżach po wielu krajach na całym świecie.

Po Michaelu urodziłeś się Ty, a później...?

Po Michaelu urodziłem się ja, a dwa lata później Floyd. Między dziećmi w rodzinie Scottów zawsze były dwa lata różnicy. Floyd to mój kochany młodszy brat. Tak jak ja studiował w Europie Wschodniej, jest inżynierem.

Gdzie konkretnie?

W Kijowie. Ale odwiedzał mnie często w Polsce, zna bardzo dobrze nasz kraj.

No i mamy jeszcze najmłodszą siostrę Shurlę. Ona niezupełnie jest naszą siostrą, ale tak ją traktujemy.

Czyli – kim jest?

Gdy wszyscy byliśmy już dorośli, samodzielni i opuściliśmy dom, to wtedy Hazel sprowadziła tu dziecko, którego matka uciekła ze szpitala, zostawiając bobasa zaraz po narodzinach na pastwę losu. Wtedy moja rodzina była już znana. Ojciec był najpierw merem, później kimś w rodzaju wojewody, przewodniczącym całego regionu. Rodzina Scottów jest w Gujanie bardzo szanowana. Mój ojciec był bardzo sprawiedliwym człowiekiem, takim ponadra-

sowym, mocno wierzył w Boga, ale nie był fundamentalistą. Podobnie zresztą jak moja mama, nie pozwolił skrzywdzić żadnego człowieka, nawet jeśli ten skrzywdził jego. Czy tacy ludzie mogliby odmówić temu przyniesionemu przez Hazel dziecku szansy na lepsze życie? Shurla ma teraz trochę ponad trzydzieści lat. Mieszka w Gujanie, jest dekoratorką wnętrz, jedną z najbardziej znanych w całym regionie. Przygotowuje śluby – zajmuje się dekoracją tortów i całych sal. Teraz powoli wchodzi do lokalnej polityki, startowała ostatnio w wyborach na radną.

A pamiętasz rozmowy w rodzinie o tym, co z tym dzieckiem zrobicie, czy powinniście je brać do siebie? Czy może nie było gadania, tylko szybka decyzja: bierzemy je i koniec kropka?

Nie było gadania. Po prostu: jest dziecko, którego mama uciekła ze szpitala, bierzemy je, bo taki jest nasz ludzki obowiązek. Tyle. Po latach mój ojciec użył swoich wpływów, by znaleźć biologiczną matkę Shurli. I ona ją poznała, a także swoje rodzeństwo. Ma z nimi kontakt do dzisiaj.

Ile lat miała, kiedy poznała swoją biologiczną mamę?

Około trzynastu.

Dlaczego chcieliście ją odnaleźć?

Uważaliśmy, że to jest fair, po prostu. Z tego samego powodu przez tyle lat prowadziłem program o mniejszościach narodowych w Polsce. Bo to jest po prostu ważne, kim człowiek jest, kim się czuje, jaki jest jego bagaż, jaka tożsamość. Bo bez tożsamości nie da się żyć.

Jak daleko mieszkała matka?

Z tego, co wiem, była w Anglii. Ale kiedy doszło do ich pierwszego spotkania, mieszkałem już w Polsce, więc nie znam szczegółów.

A wiesz, jak tłumaczyła swojej córce, dlaczego zostawiła ją w szpitalu?

Nigdy nie pytałem o to Shurli. Wiem, że moja siostra zawsze mówiła z dumą: „Jestem Scott, nikim innym”. Shurla ma świetną relację z biologiczną matką i na pewno jej wybaczyła, starała się ją zrozumieć, ale jej rodziną jest rodzina Scottów. Jej mamą jest moja mama, jej braćmi – moi bracia. A jej ojciec Joseph Scott nie żyje.

I Shurla mieszka z Waszą mamą dalej?

Nie, Shurla ma swoje mieszkanie. Mimo że moja mama jest już starszą osobą, nie wyobraża sobie żyć z dziećmi, być dla nich – jak uważa – ciężarem. W Polsce panuje przeświadczenie, że dzieci, będąc rodzicom wdzięczne za to, co zrobili, nie powinny o nich zapominać na starość. A w Gujanie jest tak, że rodzice nie chcą mieszkać z dziećmi i wychowują cię, żebyś odszedł z ich domu. I moja mama, choć mój brat Michael wybudował piękny dom w stolicy z całym apartamentem dla niej, żeby była blisko, konsekwentnie odmawia przeprowadzki. Mówi, że będzie mieszkała tam, gdzie ojciec wybudował dla nich dom.

Powiedziałeś, że to, kim jesteś, zawdzięczasz Michaelowi. Dlaczego?

Bo to on namówił mnie na wyjazd do Europy. Kiedy wyjeżdżałem z Gujany w 1985 roku, byłem ostatnim dzieckiem rodziców, które opuściło dom. Czasami nawet mama mi mówi, że miała dla mnie najwięcej może nie miłości, ale serca i cierpliwości, bo urodziłem się wcześniakiem i musiała o mnie walczyć.

Kiedy wyjeżdżałeś, miałeś już dwadzieścia pięć lat.

Tak. I byłem najmłodszym radnym w historii naszej miejscowości. Powiem nieskromnie, że miałem przed sobą perspektywę błyskotliwej kariery politycznej, byłem wiceprzewodniczącym

ruchu młodzieżowego. Straszny radykałem, postrachem ludzi dojrzałych i starszych, bo walczyłem jedynie o młodych. Wprost głosiłem, że my, młodzi, stanowimy sześćdziesiąt procent społeczeństwa, a zatem sześćdziesiąt procent dochodu narodowego brutto powinno być wydawane na nas. Bo inaczej będzie rewolucja.

Jak to ugrupowanie się nazywało?

The Young Socialist Movement – ysm. Tak, byłem socjalistą. Wpływowym młodym politykiem, wytypowanym na kolejnego mera miasta.

Twój ojciec też był merem, prawda?

Tak. Problem polegał na tym, że nie miałem poparcia prezydenta kraju, który musi mianować merów. Wprawdzie należałem do tej samej partii co prezydent, ale nie zgadzałem się z nim. Nie podobało mi się w ogóle, że to on typuje mera. Uważałem, że merem powinna być osoba, która zostaje wybrana demokratycznie i nominowana przez radnych. Jesliby tak było, wygrałbym. Ale był nakaz z góry, że ma być ktoś inny. I zacząłem z tym walczyć.

Mój ojciec i ja przez kilka dni nie rozmawialiśmy ze sobą, bo on, poprzedni mer, był tą osobą, która przekazuje instrukcje i decyzje prezydenta kraju niżej. Czyli na przykład: „Słuchaj, panie Scott, następnym merem będzie pani Maria Mazurek. Macie tak to zorganizować, żeby wszyscy zrozumieli. Ona będzie nominowana, mają być zamknięte możliwości dla wszystkich innych kandydatów. Bo to ona ma zostać merem, tak uważam i koniec kropka”. Więc ojciec przekazał mi, że jakaś kobieta ma zostać merem, a ja się sprzeciwiłem. I zaczęła się taka nieprzyjemna sytuacja: ja przeciwko ojcu. Bo ja nie zgadzałem się z tą decyzją, uważałem, że to niedemokratyczne.

Jak bardzo zła była atmosfera między wami?

Pamiętam, jak ojciec mówił do mojej mamy: „Twój syn stanął dziś przeciwko mnie”. Moja mama odpowiedziała: „Mój syn? Po pierwsze, nasz syn. A po drugie, przecież tak wychowałeś nasze dzieci, żeby miały własne zdanie”.

Mój brat Michael wówczas jeszcze nie pracował na uczelni, ale był jednym z doradców prezydenta do spraw reemigrantów, czyli wracających do kraju, wykształconych, bogatych ludzi. Michael już wtedy był więc dość wpływowy. Przyszedł do mnie i mówi: „Ptaki ćwierkają, że zaczynasz sprawiać problemy. To niedobrze. Uważam, a jako twój brat mam do tego prawo, że to nie jest najlepsza droga. Okej, możesz być merem, ale co zostawisz po swojej kadencji? Nie masz wyższego wykształcenia, nie masz niczego”. To był 1984 rok. Michael powiedział: „Jesteś cholernie inteligentny, skończyłeś college z bardzo dobrym wynikiem, idź na studia”. Więc to on załatwił mój wyjazd do Europy, ja tylko składałem papiery. On jest ojcem tej decyzji.

A co robiłeś między skończeniem *high school* a 1984 rokiem?

Poszedłem do college'u technicznego, nazywał się PMTC – Portmourant Apprentice Training Center.

Co to jest college techniczny?

Do czego to można porównać? Nie do zawodówki. Może do takiego naszego dobrego technikum. Jestem więc z zawodu... mechanikiem rolniczym!

Czego Cię uczyli w college'u?

Wszystkiego, co mechanik rolniczy musi umieć zrobić: naprawiania kombajnów, traktorów, elektryki i spawania. To wszystko umiem albo umiałem, bo nie wierzę, że cała ta wiedza wciąż we mnie jest. I nawet wyjeżdżając na studia do Polski, miałem zamiar zostać inżynierem, a nie dziennikarzem. Na takie stypen-

dium zostałem wysłany. College to jest dwuletnia szkoła, gdzie wszystkie egzaminy są przygotowane przez najbardziej renomowane instytucje edukacyjne w Wielkiej Brytanii, głównie City and Guilds of London Institute.

Po skończeniu college'u zacząłem pracować w przemyśle cukrowym jako mechanik. Wykonywałem tę pracę, gdy zacząłem być aktywny jako młody, radykalny polityk.

Skąd się wziął ten radykalizm?

Z wychowania. Mój ojciec mówił: „Bój się tylko Boga. I żadnego żywego człowieka”.

No ale musiałeś wierzyć, że to, o co walczysz i co postulujesz, było słuszne.

Wiem, że było. Używałem także mózgu, no ludzie! To nie była tylko siła, nie byłem robotnikiem. Byłem młody, inteligentny i przekonujący dla wielu młodych ludzi, którzy poszli za mną.

Gdybyś tam został, zrobiłbyś rewolucję?

Na pewno byłbym merem. Pewnie bym zginął, bo polityka w tamtym regionie była tak brutalna, że młodzi ludzie, którzy byli niewygodni dla władzy, nieraz po prostu znikali. Zapadali się pod ziemię. I kto wie, może mój brat uratował mi życie? Ale nie boję się śmierci. Nawet wtedy się nie bałem. Kochałem mój kraj i uwielbiałem być liderem. To było dla mnie. Lubię demokrację. Głos większości jest dla mnie święty. Odkąd jestem w Polsce i mam możliwość głosowania, zawsze chodzę na wybory. Nie zgadzam się z ludźmi, którzy opowiadają bzdury, że nie mają na kogo głosować. Nonsens! Owszem, nigdy nie będziesz miał idealnego kandydata. Z prostej przyczyny – taki nie istnieje. Ale zawsze masz kogoś, przeciwko komu powinno się zagłosować, więc po prostu wybieraj najmniejsze zło. Ja tak robię. Czy kochałem te partie, na które głosowałem? Albo uważałem, że są

najlepsze? Nie. Ale były lepsze od partii, o których wiedziałem, że nie chcę, żeby rządziły. Więc mój głos spowodował pomniejszenie prawdopodobieństwa, że to niepopierana przeze mnie partia zdobędzie większość. Dlatego głosuję.

Jakie są Twoje najdalsze wspomnienia z dzieciństwa?

Chyba jakieś Boże Narodzenie, moje pierwsze zabawki... Ameryka Północna musiała mieć na nas niemały wpływ, bo pamiętam siebie jako kowboja, w tym charakterystycznym kapeluszu. Pamiętam pasek z nabojami i dwa pistolety i jak udawałem, że z nich strzelam. Pif-paf, pif-paf.

Dostawaliście prezenty pod choinkę?

Tak. Teraz gdy o tym mówię, wydaje mi się to bardzo wzruszające. W tak biednym kraju dostawało się zabawki pod choinkę!

Wigilia u nas, protestantów, nie ma żadnego znaczenia. Boże Narodzenie świętujemy dopiero od 25 grudnia, budzimy się z tą radosną nowiną, że Bóg się urodził, gdy my spaliśmy. I Anioł przyniósł te prezenty. Wieczór wigilijny to zwykły dzień, wszyscy idą na spacer, robią ostatnie zakupy. Najważniejszy posiłek to śniadanie bożonarodzeniowe – wtedy raz w roku jemy jakieś europejskie albo inne importowane, nie wiem skąd, produkty. Na stole jest dosłownie wszystko, w tym jabłka. U nas jabłka nie rosną, więc są prawdziwym rarytasem. Tylko że jabłko musi być czerwone. Gdy moja mama przyjechała do Polski, poszedłem do hipermarketu i kupiłem jej wielkie, zielone jabłko z Holandii. Przywiozłem jej, myślałem, że się ucieszy, mówię: „Proszę, dawno nie jadłaś, mam, jabłka”. A mama stwierdziła, że jest niedojrzałe i nie będzie go jadła.

Jak zapamiętałeś szkołę?

To był duży, drewniany budynek. Szkoła nazywała się Skeldon Scots School.

Scots?

Tak, ale to nie od mojego nazwiska przecież. Szkoły były własnością Kościoła, a ta była własnością Presbyterian Church of Scotland. To była *Scottish school*. Widzę przed oczami to prowizoryczne boisko, na którym się bawiliśmy, graliśmy w krykieta. Byłem dobry w bieganiu, cholernie szybko biegałem na sto i czterysta metrów. W Gujanie rok szkolny, tak jak w Polsce, zaczyna się we wrześniu, ale u nas na początek zawsze są różne olimpiady atletyczne – najpierw etap wewnątrzszkolny, potem szkoła tworzy jedną drużynę, następnie są zawody międzyszkolne, później między gminami, między województwami i dalej, aż do stolicy. To było święto, olimpiada odbywała się tylko raz w roku, każdy chciał dojechać jak najdalej, bo podróż do stolicy to była wielka rzecz. I mnie się często udawało, bo od małego biegałem szybko. Zawsze wygrywaliśmy nagrody – u nas nie ma medali, bo metal jest drogi, poza tym wolimy praktyczne rzeczy. I większość kubków, talerzy, sztućców mojej mamy to są przedmioty, które jej dzieci powygrały na zawodach. Bo wszyscy byliśmy dobrzy. Moja siostra Hazel też szybko biegła. Ciekawe, po kim to mieliśmy, bo nasz tata był przecież fajtłapą. Ale był fantastycznym, najlepszym ojcem, jakiego mogłem sobie wymarzyć.

Czym się zajmował, zanim został burmistrzem?

Był elektrykiem.

A mama?

Zajmowała się czymś, co dzisiaj nazwalibyśmy cateringiem, tyle że jej catering był specyficzny: zawsze dekorowała torty weselne. Pamiętam ludzi, którzy przywozili do nas do domu te wszystkie ogromne ciasta. Mama siedziała nocami przy świecach, lampach naftowych i dekorowała torty lukrami, ozdobami w różnych kolorach. Dłubała w tym godzinami.

Dobra w tym była?

O, i to jak! I cieszyła się, że w ten sposób może pomóc mężowi. Mój ojciec nie był bogaty, nie zarabiał aż tak bardzo dużo pieniędzy. A my przecież potrzebowaliśmy ubrań, książek do szkoły. Mama musiała mu więc pomóc. Gdy teraz siedzę z moimi dziećmi i opowiadam im, że my używaliśmy tych podręczników, z których na samym początku uczył się Randolph i wszyscy musieliśmy o nie dbać, to moi synowie nie dowierzają. Bo w Polsce co roku kupuje się dla dziecka nowy podręcznik.

Ze wspomnień, które utkwiły mi w pamięci, jest jeszcze takie: mój ojciec co dwa–trzy miesiące przychodził do domu w niedzielę, mówił do dzieci: „Chodźcie, trzeba wyczyścić organizm”. I dawał nam... po łyżeczce oleju rycynowego. Straszne to było. No i pamiętam jeszcze doskonale, że w brytyjskich szkołach były kary cielesne, nauczyciel mógł bić dzieci.

I dostałeś kiedyś?

Ba, ile razy!

Za co?

Za to na przykład, że nie zrobiłem pracy domowej – bach, biją cię. Pamiętam, że czasem uczniowie stali, a nauczyciel bił nas takim elastycznym kijem. To nie tak, że nauczyciele robili dziecku krzywdę, że byli okrutni. Po prostu takie panowały zasady. A bicie w szkołach zostało zabronione w byłych koloniach brytyjskich dopiero kilka lat temu.

Twoi nauczyciele byli Brytyjczykami?

Różnie, ale najczęściej byli biali. Dyrektorzy szkół nigdy nie byli Gujańczykami. Teraz, owszem, dyrektorami szkół w Gujanie są nasi, ale to nowa historia kraju, która zaczęła się dopiero po ustanowieniu niepodległości w 1966 roku.

Bardzo ciepło wyrażasz się o ojcu. Brakuje Ci go?

Czy brakuje? To był najważniejszy mężczyzna w moim życiu, mój absolutny autorytet. Zmarł 16 listopada 2001 roku.

Chorował?

Przez lata borykał się z chorobą Alzheimera. To była loteria. Czasami pamiętał, że ma syna w Polsce, a czasami nie. To straszna choroba, kiedy człowiek, który cię kocha, którego ty kochasz, nie pamięta cię i pod koniec jego dni nie możecie nawet wspólnie wspominać, przeżyć tych pięknych chwil jeszcze raz.

Chociaż... dziwna sprawa. Moja mama mówiła, że była z nim, gdy umierał w szpitalu, i on wtedy, na krótko przed swoim odejściem, wszystko pamiętał. W obliczu śmierci pytał o nas wszystkich, mówił o tym, jak piękne miał życie obok mojej mamy, jak fajne dzieci wychowywali, jaki jest dumny.

Co najbardziej zapamiętałeś z jego pogrzebu?

Jedno zdanie, które wypowiedziała mama w samochodzie mojego brata, gdy wracaliśmy z pogrzebu. Zdanie, które dla mnie stało się zwięzieniem całego życia rodziców, czterdziestu lat małżeństwa przerwanej jego śmiercią. Powiedziała: „Dzieci, wasz ojciec nie był osobą bez skazy. Kłóciliśmy się czasami. Ale jest jedna rzecz, której on zawsze pilnował. On nigdy nie chciał się kłócić przy was, nigdy nie krzyczeliśmy na siebie wystarczająco głośno, zawsze robiliśmy to w naszej sypialni. I jedno wy zapamiętajcie, wy, mężowie, i wy, żony: jeśli macie jakiegokolwiek problemy z waszymi współmałżonkami, nigdy nie pozwólcie, żeby te problemy przeniosły się na następny dzień. Każdy konflikt trzeba zakończyć przed nocą, gdy razem położycie się do wspólnego łóżka”.

Ale jak brzmiało to jedno zdanie? Żeby nie kłócić się przy dzieciach?

Nie, to najbardziej dobitne zdanie brzmiało: „Patrzcie, dzieci, jakie to życie jest: wyszłam za niego czterdzieści lat temu i to jest pierwszy raz, kiedy wracam do domu bez niego”.

I to była prawda. Moja matka była czternaście lat młodsza od mojego ojca. On ją wychował, rozumiesz? Gdy się pobierali, ona miała osiemnaście lat, a on – trzydzieści dwa. Ich małżeństwo było aranżowane, moja mama pochodziła z bardzo biednej rodziny. Mój ojciec nie wywodził się z bogatej, ale był starszym kawalerem, bardzo ambitnym, miał dobrą pracę, dobrze rokowiał. Nigdy nie pił i nigdy nie palił. I był Murzynem, który nie potrafił tańczyć, nie grał w koszykówkę i nie biegał szybko. Stanowił zaprzeczenie wszelkich stereotypów o Murzynach.

Odwiedził Cię kiedyś w Polsce?

Niestety nie. Moja mama tu była, odwiedziła nawet program *Etniczne klimaty*, widziała, jak był robiony. Była w moich programach w Radiu Kraków, zobaczyła szkołę, w której uczę. Cieszyła się. Była dumna. Też staram się ją odwiedzać, jeżdżę na ogół bez Uli i bez chłopaków, bo to jednak jest bardzo drogie. A swój obowiązek spełniłem w 2008 roku, gdy zabrałem żonę i dzieci do Gujany.

Dlaczego uważałeś to za swój obowiązek?

Uważałem, że mają prawo poznać tamtą stronę rodziny. Moją. Że chłopcy powinni się dowiedzieć, skąd mają tę podwójną tożsamość. Że powinni poznać drogi bez asfaltu, którymi kiedyś chodziłem, miejscowości, które w dalszym ciągu nie mają prądu, a ludzie noszą tam wodę, żeby móc się kąpać. Szkoły, w których nie ma światła i mogą działać tylko w godzinach, gdy świeci słońce. Albo gdzie nie ma krzeseł, gdzie nie ma nawet tablicy. A te dzieci, które się tam uczą, nie różnią się przecież od

dzieciaka, którym kiedyś był ich ojciec. Ich ojciec, który chodził do takiej samej szkoły, a potem wyjechał z kraju do Polski i stał się kimś. Chciałem, żeby Marvell i Michael odwiedzili groby rodzinne: moich dziadków, mojego ojca, moich kuzynów. Żeby dowiedzieli się, skąd jestem, jakie tam jest jedzenie. Jacy są sąsiedzi, ci wszyscy Hindusi, Murzyni, Azjaci? Chciałem, żeby zobaczyli na własne oczy, jak w Gujanie mieszkamy blisko siebie. Chciałem, żeby przeżyli wakacje życia, żeby odkąd wylądują na miejscu, był już tylko uśmiech i radość. Radość z tego, że tam są.

Na Twojej ulicy mieszkali ludzie różnych ras czy tylko Murzyni?

My byliśmy jedynymi Murzynami na tej ulicy! Miałem kochanych sąsiadów Hindusów – Shilę i jej męża, który nazywał się Sudi. Byli dla mnie jak drudzy rodzice. Kiedy tylko zobaczyli, że idę z Ulą i chłopakami, niosąc bagaże (bo na tę ulicę nie można nawet wjechać autem, takie jest błoto) zaraz wybiegli przed dom. I od razu zapytali, czy to moja żona, moi synowie. I natychmiast ich wszystkich wyściskali. Ja zostałem przytulony jako ostatni. I wiesz, oni wtedy powiedzieli do Uli: „Pamiętaj, jesteś naszą córką”.

Co dalej robiliście podczas tych wakacji?

Podczas tych dwudziestu jeden dni moja rodzina poznała spory kawał Gujany. Ja, moja rodzina, przyjaciele staraliśmy się pokazać im jak najwięcej. Mój brat organizował spotkania, wyjazdy. Mój przyjaciel z dzieciństwa, Eon, ma restaurację i musieliśmy codziennie w niej jeść, mimo że mieszkaliśmy przecież u mojej mamy, więc i ona nam gotowała. Sąsiedzi też przywozili jakieś hinduskie smakołyki i mówili do Uli: „Córeczko, to jadł Brian, kiedy był mały. Bo wiesz, córeczko, my, Hindusi, zawsze takie rzeczy przyrządzamy na hinduskie uroczystości i dzielimy się z sąsiadami”.

Myślisz, że Twoja polska rodzina doceniła to, że zabrałeś ich do Gujany? Że ten wyjazd w jakiś sposób ich zmienił?

Mój starszy syn Marvell powiedział: „Lubię rodzinę taty, bo nikt nie widzi, że jestem inny”. Takie słowa wypowiedziane przez dziecko mówią bardzo dużo. Pokazują, że jednak w Polsce jest presja, że gdy rodzice spuszcza swoje dziecko z oczu, to ono może być wytykane palcami, może poczuć się gorzej. I to jest bardzo duża trudność dla tych dzieciaków, młodych ludzi. Bo jeśli mnie ktoś wytyka placami, to wytrzymuję. Gdy dochodzi do takiej sytuacji i jestem już wkurzony, to rzucam po prostu kilka porządných, dobrych, polskich przekleństw.

Twoja ich znajomość jest, jak zauważyłam, imponująca.

Znam polskie przekleństwa bardzo dobrze i nie mam najmniejszych problemów z ich artykulacją albo z dobraniem odpowiednich końcówek. Nie ma więc zagrożenia, że ktoś mnie nie zrozumie. Jak tylko kilka razy przeklnę, ludzie na ogół dają mi spokój. Nie muszę się bić. Nawet potrafię, ale nigdy nie uważałem, że to jest dobry sposób, by załatwiać spory. Agresja, przemoc fizyczna – to nigdy nie jest dobre wyjście. Mój ojciec, fantastyczny, najlepszy filozof, mówił tak: „Synuś, pamiętaj, kiedy ktoś cię poniża i nie wytrzymujesz, spróbuj z całych sił go nie uderzyć. Bo to uderzenie może być nieszczęśliwe, co może z kolei spowodować, że całe twoje życie się skończy. Zabijesz człowieka, skończysz w więzieniu albo dostaniesz karę śmierci”. Bo w Gujanie istnieje kara śmierci. I dalej tata dodawał: „Pamiętaj, wychowałeś się w rodzinie chrześcijańskiej, a bycie chrześcijaninem zobowiązuje. Wysłałem was do szkoły, żebyście zdobyli edukację. Ucz się języka osoby, która cię krzywdzi. I zamiast ją bić, spróbuj powiedzieć jej coś, co będzie tak strasznie ją bolało, że ona nigdy, do końca życia, nawet leżąc na łożu śmierci, o tobie nie zapomni i nie będzie miała spokoju”. I wziąłem sobie słowa taty do serca. Uważam nawet, że jestem specjalistą w ranieniu za

potumą słów. Potrafię powiedzieć ludziom takie rzeczy, których nigdy by się nie spodziewali. Widziałem, ile razy powiedziałem Polakom coś, co ich zatrzymało. Myślę, że nieraz nawet mieli refleksję: „Kurczę, ten facet mnie skrzywdził, ale dlatego, że to ja skrzywdziłem go wcześniej. Więc może jednak powinienem zacząć postępować inaczej?”.

Opowiedz o jakiejś konkretnej sytuacji.

Nie chciałbym opowiadać o tych rzeczach ze zbyt dużymi szczegółami, bo niektórych, z perspektywy czasu, sam się wstydzę. Nie chodzi mi nawet o przekleństwa. Są rzeczy, które potrafią zranić znacznie bardziej. Raz na przykład powiedziałem staremu mężczyźnie, który przeżył drugą wojnę światową: „Człowieku, Hitler był okrutny i bezwzględny. Ale ty jesteś dokładnie taki jak ci naziści: dręczysz człowieka, którego nawet nie znasz, tylko z tego powodu, że jest innej rasy. Jest mi bardzo przykro, że Hitler nie wykończył ciebie”.

Rzeczywiście, mocne słowa. Nie za mocne?

Nie jestem z tego dumny, ale tak powiedziałem mężczyźnie, który poniżał – albo przynajmniej próbował poniżyć – mnie w tramwaju.

Jak do tego doszło?

Jechałem z miasteczka studenckiego Akademii Górniczo-Hutniczej na ulicę Piłsudskiego w Krakowie, do Collegium Novum, na egzamin.

Ten mężczyzna wszedł do tramwaju i zdaje się, że faktycznie nie było miejsc. Ale nie widziałem go, a w tym tramwaju było dużo innych młodych osób, które, podobnie jak ja, mogły mu ustąpić i które, jak sądzę, zauważyły go wcześniej. Ale ten mężczyzna podszedł akurat do mnie i zaczął krzyczeć: „Czy pan nie widzi, że jestem starszą osobą?! Pan powinien stać!”.

Odpowiedziałem: „Nie wiem, czy pan uważa, że mam oczy z tyłu głowy, żeby pana widzieć, ale nie mam i nie mogłem pana widzieć wcześniej. Na pewno bym wstał z własnej, nie-przymuszonej woli, gdybym tylko zdawał sobie sprawę, że pan się za mną znajduje”. Ale on brnął dalej: „U was, w Afryce Południowej, Murzyni nie mają nawet prawa jeździć tramwajem, a pan tu siedzi jak król”. I tego typu rzeczy mówił. I wtedy mu powiedziałem, co miałem powiedzieć. Przecież to on zaczął mi ubliżać z powodu koloru skóry i sugerować, że nie mam nawet prawa z Polakami jechać jednym tramwajem.

To było dawno temu.

Tak, ale również dzisiaj, w 2016 roku, w Polsce dalej działają organizacje neonazistowskie. Narodowcy mogą legalnie chodzić po ulicach i nikt ich za to nie karze. Przecież gdy w Stanach Zjednoczonych złapią członków Ku Klux Klanu, to koniec z nimi. Oni działają tylko w podziemiu i nawet nie chcą się do tego przyznać. A u nas neonaziści chodzą bezkarnie, a nawet jeśli któryś z nich trafi do sądu, to zaraz słychać o niskiej szkodliwości społecznej. Więc uważam, że wszystko, co jest związane z rasizmem, nazizmem, antysemityzmem, całą ideologią drugiej wojny światowej, powinno być w tym demokratycznym państwie surowo i zgodnie z prawem karane. Nie powinno być faszystowskich organizacji, Polacy za dużo wycierpieli. Jak można być Polakiem i z przyjemnością nosić swastykę na swoich ubraniach, mając jednocześnie świadomość, że dziadkowie, pradziadkowie tu, w Polsce, tyle wycierpieli?

Naprawdę czuję się Polakiem, kocham ten kraj, jestem bardzo dumny z moich osiągnięć i tego, co robię. Mój wielki idol Martin Luther King apelował, by nie oceniać człowieka po jego kolorze skóry, ale po jego charakterze. Bardzo bym chciał, żeby taki dzień nadszedł. Bo na razie ludzie w ten sposób myślący są w mniejszości, choć owszem, ta mniejszość się powieksza.

sza. Ale dalej jest mnóstwo osób, które uważają, że nie mam prawa nazywać się Polakiem, tylko dlatego, że mam inny kolor skóry i że nie urodziłem się w Polsce. Czy ktoś zbudował jakąś maszynę, która mierzy, jak bardzo ktoś kocha Polskę? Czy ktoś może stwierdzić, że na przykład Zbigniew Ziobro kocha Polskę bardziej niż Brian Scott? Przecież kiedy Brian Scott przyjechał do tego kraju, zaczął go poznawać i w nim studiować, Zbigniew Ziobro był jeszcze nastolatkiem, miał piętnaście lat. I ta Polska należy do mnie tak samo jak do niego.